

Koniec radosnej dekadencji

TEATR | Musical „Cabaret” można zmienić w opowieść o przejściu z lat wolności do czasu obecnej, politycznej zmiany.

JACEK MARCZYŃSKI

Patrząc na wypełniony publicznością stołeczny Teatr Dramatyczny, zastanawiam się, co nadal przyciąga do „Cabaretu”, który ciągle żyje na polskich scenach. Niedawno miał przecież kolejną premierę w Radomiu.

Więcej niż połowy tych, którzy zapełniają teraz widownię Teatru Dramatycznego, nie było jeszcze na świecie, gdy ten musical w filmowej wersji podbił świat, ale przecież dziś opromieniony ponad 40 lat temu ośmioma Oscarami stracił już blask. Pozostały trzy czy cztery świetne piosenki Johna Kandra, które zasłuzenie stały się nieśmiertelnymi przebojami.

A jednak jest w tym musicalu coś uniwersalnego, ponadczasowego, nie tylko pociągający swą perwersyjnością Berlin i jego kabarety z lat 30. XX wieku, tak malowniczo przedstawione w filmie. Widać to obecnie bardziej wyraźniej niż kiedyś, gdyż zaczynamy sobie zdawać sprawę – niemal w całej Europie, a także i u nas – że chyba kończy się czas beztroskiej zabawy nieograni-

czony żadnymi rygorami, a zaczynają pojawiać się siły dążące do wprowadzenia nowego ładu.

W Teatrze Dramatycznym atmosfery Berlina sprzed ponad 80 lat nie ma. Gdyby nie hitlerowska opaska na rękawie jednej z postaci i gdyby nie z wyczuciem grana w spektaklu muzyka Johna Kandra, znakomicie oddająca klimat tamtej epoki, „Cabaret” byłby sztuką niemal współczesną.

Oto bowiem nadchodzi czas politycznej zmiany, dobrej – jak twierdzą jedni, groźnej – zdaniem innych. Jak się zatem zachować? Wyjechać? Zostać? Poddać się, przeczekać, przekonywać siebie i innych, że można nadal żyć normalnie, czy też buntować się?

O tym też jest „Cabaret”, zwłaszcza w oryginalnej wersji. W teatralnym musicalu – w przeciwieństwie do jego ekranizacji – istotny jest przecież pozornie drugoplanowy wątek Fräulein Schneider i sklepikarza Herr Schulza. Ona chce żyć w zgodzie z władzami, boi się szykan ze strony sąsiadów, zrywa zatem zaręczyny, gdyż on jest Żydem. Schulz tego nie rozumie, przecież w normalnym państwie rządy się zmie-



♦ **Krzysztof Szczepaniak** jako kabaretowy Mistrz Ceremonii

niają. Dziś jest źle, kiedyś będzie lepiej.

„Cabaret” jest wszakże typowym produktem amerykańskim, zatem musi być w nim wątek miłosny, a całość kończy się długą, ckliwą sceną rozstania kochanków. Osłabia ona dramaturgiczny potencjał musicalu, w warszawskim spektaklu ciągnie się ponad miarę, bo wykonawcy głównych ról są dość bezbarwni.

Mateusz Weber (Cliff) nie wychodzi poza schemat prostolinijnego, lirycznego młodzieńca bez życiowego doświadczenia, Anna Gorajska dobrze śpiewa, ale jako artystka kabaretowa Sally Bowles jest zbyt wyciszona, bez przyciągającego mężczyzny seksapilu i owej słynnej boskiej dekadencji.

Sprawdził się inscenizacyjny pomysł reżyserki Eweliny Pietrowiak, by całość rozegrać

w jednej, prostej dekoracji, ale przedstawieniu brakuje nieco drapieżności, a tempo siada zwłaszcza w aktorskich scenach pierwszej części. Ratują ją momenty muzyczne i pomysł z olbrzymimi lustrem wiszącym nad sceną, a opuszczonym podczas piosenki złowieszczo zapowiadającej nowe jutro. Widzowie mogą wówczas w nim zobaczyć samych siebie.

Wśród wykonawców pozostałych ról należy dostrzec Agnieszkę Wosińską (Fräulein Schneider) i Magdalenę Smalarek jako seksowną Fräulein Kosta. Cóż jednak byłby wart ten spektakl bez młodego Krzysztofa Szczepaniaka, który jako żywiołowy, perwersyjny, tajemniczy oraz stylowy Mistrz Ceremonii może mierzyć się ze sławnymi wykonawcami tej legendarnej postaci. ©©